



MATERIAŁY PRASOWE/TR WARSZAWA

Kamerzysta

TR WARSZAWA W „Robercie Roburze” Krzysztof Garbaczewski serwuje to wszystko, co fani jego teatru uwielbiają, a czego przeciwnicy nienawidzą. Układ jest i pozostanie niezmienny

Jacek Wakar, Polskie Radio

Premiera adaptacji słynnej powieści Mirosława Nahacza zdążyła już obrosnąć legendą. Ponoć na jednej z prób generalnych z udziałem publiczności grający Roberta Robura Dawid Ogrodnik nie mógł kontynuować spektaklu ani pojawić się na scenie następnego wieczoru. Nieoczekiwana sytuacja zmusiła reżysera do nowej koncepcji tytułowej roli, od tego momentu podzielonej na Pawła Smagałę, który dał Roburowi fizyczność, oraz podkładającą głos Justynę Wasilewską. Robi to bardzo dziwne wrażenie, ale w świecie tego

akurat przedstawienia Garbaczewskiego jakoś się broni. Znać bowiem, że tym razem jeszcze bardziej niż zwykle zajmowało go wszystko, co chore i pokręcone. Odnalazł to w najsłynniejszej książce Mirosława Nahacza, który od swej przedwczesnej śmierci w wieku 23 lat sam stał się mitem. Za życia opublikował trzy książki, dając się poznać jako talent pierwszej wody, całkowicie osobny, niepodrabialny głos. Nie bez przyczyny Andrzej Stasiuk nazwał go wybrańcem. „Niezwykłe przygody Roberta Robura” miały stanowić opus magnum Nahacza, ale ukazały się już po jego samobójczej śmierci. To potężna antyutopia, opowieść o spo-

łeczeństwie uzależnionym od seriali, gier i cyfrowych technologii. Odnaleźć łatwo w niej ślady Philipa K. Dicka, ale to niejedyny trop. Nahacz objawia w niej wyjątkowy rozmach i słuch na świat. A przy tym jest to rzecz chyba niemożliwa do jakiegokolwiek adaptacji, o czym przekonał się Krzysztof Garbaczewski.

Jak zwykle w jego produkcjach lwia część widowiska oglądamy nie na scenie, ale na filmie kręconym na żywo z aktorami TR Warszawa wciąż w przypisanych im rolach. Kamera Roberta Mleczi (pamiętam jego fenomenalne projekcje z „Męczenników” Grzegorza Jarzyny) goni bohaterów po wąskich korytarzach budynku przy Marszałkowskiej, oświetlanych doskonale przez Bartosza Nalazka, zagląda w zamarki, zniekształca twarze. Przez jakiś czas zapominamy, że z podobnymi zabiegami w teatrze Garbaczewskiego często mamy do czynienia, bo tym razem film kręcony jest z nerwem, a poszczególne sceny bywają zabawne. Zestawiano „Roberta Robura” z wałbrzyską „Gwiazdą

Śmierci”, gdzie Garbaczewski postanowił kempowo zabawić się z serią „Gwiazdnych wojen”. Nowe przedstawienie jest lepsze, bo reżyser nabrał pewności i trochę lepiej wie, co chce pokazywać. Poza tym ma do dyspozycji aktorów TR Warszawa. Tyle że konceptu starcza na pół godziny, może trzy kwadranse. Potem zabawa staje się celem samym w sobie, zagłusza planowane diagnozy, rytm gubi się gdzieś w gąszczu unieważniających same siebie obrazów. Im dalej w las, tym jest gorzej i tym mniej ma spektakl wspólnego z prozą Nahacza. Na koniec zaś rozpada się całkiem, bo Garbaczewski próbuje całkiem innej, tradycyjno-onirycznej stylistyki.

Męczyłem się na potęgę, choć rozumiem, że „Robert Robur” może też znaleźć swych wyznawców. Przekonani przekonają się jeszcze bardziej, ja pozostanę przy swoim. ©©

„Robert Robur” według
Mirosława Nahacza | reżyseria:
Krzysztof Garbaczewski | TR
Warszawa